PRZEŁOM

DWUTYGODNIK POLITYCZNY

CENA 50 groszy | Kraków, we wrześniu 1944 r. | ROK I. Nr. 9

GŁOS CZYTELNIKA

TAK BYŁO...

Naprawdę nie wiem, jak to się wszystko stało. W ciągu tych kilku dni miałem tyle przeżyć, że nie potrafiłem ich jeszcze uporządkować. Były to straszliwe przeżycia.

Zaczęło się od zarządzonej przez władze ewakuacji ludności niemieckiej z Warszawy. Ulice miasta nie miały już wówczas normalnego wyglądu. Część tramwajów oddana została do dyspozycji wojska, tak że trzeba było wszędzie chodzić pieszo. Dla mnie było to również niewygodne, bo biuro moje mieściło się na Mazowieckiej, podczas gdy mieszkałem na Mokotowie.

W ostatnich dniach lipca wypłacono u nas pensję z góry za dwa miesiące i zarządzone zostały jedynie dyżury. Albowiem biuro pracowało dla organizacji Todta i nie wolno było go zamknąć.

Krytycznego dnia wychodziłem właśnie z biura — miałem dyżur — gdy usłyszałem nagle dalekie wybuchy. Pomyślałem, oczywiście, że są to prawdopodobnie wybuchy w getcie, w najgorszym zaś razie, że słyszymy przypadkowo odgłosy frontowe — front był pono gdzieś koło Mińska Mazowieckiego. Tymczasem rozległy się strzały również w pobliżu. Zobaczyłem uciekających przechodniów i zostałem wtłoczony przez tłum do jednej z bram.

Nikt nie wiedział, co się właściwie dzieje, choć słyszeliśmy głosy, że rozpoczęło się powstanie i że bolszewicy znajdują się pono już na Pradze. Pogłoski te miały dla mnie znaczenie, że przypomniały o mojej rodzinie, znajdującej się na Mokotowie. Przeszedłem przez długie podwórze, bo chciałem przedostać się na Marszałkowską ulicę przez plac Dąbrowskiego. Lecz tu spotkali mnie młodzieńcy, uzbrojeni w karabiny z białymi opaskami na ramionach.

— Obywatel ma pójść z nami! — powiedział jeden z nich.

Zmuszony zostałem do budowy barykady na pewnym skrzyżowaniu ulic, potem — wraz z innymi — do noszenia skrzyń z amunicją złożonych w jednej z piwnic.

W międzyczasie strzelanina znacznie się wzmogła, gdzieniegdzie słychać było głuche wybuchy, jak gdyby pocisków armatnich, dowiedziałem się później, że to powstańcy atakowali za pomocą granatników grupy wojskowych i cywilów niemieckich, zaskoczonych w rozmaitych zakładach publicznych.

Z zapadnięciem zmroku uciekłem pomiędzy ruiny domów, zniszczonych jeszcze w 1939 roku. Chciałem przedostać się na Mokotów. Było to jednak beznadziejne. Musiałem pozostać w bramie jakiegoś domu.

Gdzieniegdzie widać było już łuny pożarów. Bitwa na ulicach miasta toczyła się jak gdyby wszędzie, wydawało się nam że tuż — tuż. Mieszkańcy domu, gdzie się schroniłem, przenieśli się do piwnicy. Zniesione tam zostały również szczupłe zapasy żywności i wody. Patrzyliśmy na siebie wystraszeni. Ja osobiście byłem przekonany, że powstanie wywołali bolszewicy, by tym łatwiej zdobyć miasto i ogłosić republikę sowiecką. Albowiem czytałem jeszcze niedawno w pewnej nielegalnej gazetce, że bolszewicy są wrogiem Polski. Sam podzielałem i podzielam ten pogląd, toteż zdumiałem się, gdy zobaczyłem powstańców, którzy oświadczyli, że działają w imieniu rządu Mikołajczyka. Zdawało mi się, że jeżeli narodowcy zaatakowali Niemców w chwili trudnej dla nich, to tylko i wyłącznie bolszewicy mogą zarobić na tej warszawskiej rewolcie. Tego samego zdania byli i nieznani mi bliżej mieszkańcy domu, w którym znalazłem przygodne schronienie.

Byłem bez płaszcza, tak jak wyszedłem z domu. Nie miałem ani jedzenia, ani pieniędzy. W najstraszliwszych warunkach przesiedziałem bądź w piwnicy, bądź na parterze tego domu siedem długich dni.

W międzyczasie ze wszystkich stron wzrosły łuny pożarów. Ulicą jeździły ciężkie czołgi, strzelanina nie ustawała ani na minutę.

Ósmego dnia ulica nasza zdobyta została całkowicie przez wojsko niemieckie. Tuż obok paliły się domy, pożarów nikt nie gasił. Podoficer niemiecki rozkazał opuścić dom i wyjść z Warszawy w kierunku na Włochy. Wyruszyłem, brudny, na wpół zagłodzony i samotny, nie wiedząc, co się dzieje z rodziną. Było i tak nieprawdopodobieństwem, by dostać się na Mokotów, od którego dzieliło mnie morze ognia i szara zasłona dymu.

Z wielkim trudem dostałem się do Pruszkowa, gdzie mam znajomych, to też nie poszedłem do obozu przejściowego dla uchodźców, założonego przez władze niemieckie. Przenocowałem, umyłem się i — nasłuchałem niesłychanych plotek, że to niby sam generał Sosnkowski jest w Warszawie, że walczy tam cała dywizja angielskich strzelców spadochronowych i t. p. Byłem zbyt osłabiony, by reagować na tego rodzaju bzdury. Myślałem zresztą jedynie o tym, że straciłem, być może rodzinę i cały dobytek i że nie jestem w stanie przetrzymać tej nowej klęski.

Twierdzę z całą stanowczością, że ludność Warszawy zaskoczona została przez wybuch powstania. Nikt nie chciał bowiem, by bolszewicy weszli do miasta, a właśnie to było chyba celem powstańców.

Poza tym przecież setki tysięcy ludzi straciły wszystko, co posiadały, pozostały w jednym ubraniu, jednej koszuli i td. I wreszcie — nasza kochana Warszawa!

Gdy teraz ulice śródmieścia wyglądają, jak kupy gruzów, gdy miasto wymarło, to poco było robić powstanie? Co zostało zdobyte? W czyim interesie leżało takie pokierowanie sprawami politycznymi?

Są to pytania, które z rozpaczą zadają sobie warszawianie, zgromadzeni w Pruszkowie. Jest tu nas około 150.000 ludzi. Jesteśmy nędzarzami. Utraciliśmy nasze żony, dzieci, nie wiemy nic o bliskich.

Nie braliśmy nigdy udziału w życiu politycznym.

Gdy się budzę z rana (sypiam na korytarzu u znajomych), wydaje mi się to wszystko strasznym snem. I sen ten rozpoczyna się każdego dnia od nowa....

W. Kwiatkowski

* * *

Nie ma na świecie wypadków bez przyczyny. Każde zdarzenie jest związane łańcuchem żelaznych następstw z poprzedzającymi wypadkami, a wyśledzenie tych związków niewątpliwie jest pożyteczne, gdyż może nas uchronić przed nieuzasadnionymi nadziejami i bolesnymi rozczarowaniami. Dobrze wobec tego jest zastanowić się nad tym, co się stało, przemyśleć przebieg zdarzeń i wyciągnąć poprawne, trzeźwe wnioski na przyszłość. Niestety, nie zawsze to jest możliwe. Są zdarzenia, a dotyczy to właśnie zdarzeń najboleśniejszych, kiedy wszelkie rozumowanie wydaje się martwe i puste, wydaje się umniejszaniem straszliwej wagi tego, co się stało...

Bo przecież jakimiż słowy przemówić do staruszki, która z palącego się domu wyniosła to tylko, co w słabych, schorzałych rękach unieść zdołała, co znalazła tymczasowe schronienie w ubogiej chacie wieśniaka, bytującego w jednej izbie z całą liczną rodziną? Co powiedzieć ojcu, niosącemu na rękach zranione dziecko, którego matka padła na ulicy od kuli niewiadomego pochodzenia? Jakie słowa pociechy skierować do rzemieślnika, któremu zniszczono warsztat roboczy, zrujnowano cenne, nie dające się wogóle nabyć przyrządy precyzyjnej pracy? Jak uspokoić kilkoletnie dziecko, zbłąkane w powstańczej zawierusze, poszukujące w rozpaczy matki i ojca? Czym pokrzepić słabnące siły młodzieńca, którego z zgruchotanymi nogami wydobyto spod palących się jeszcze zgliszcz ojcowskiego domu? Cóż powiedzieć tym wszystkim, których w otchłań nędzy i rozpaczy wpędziła decyzja niepoczytalnych szaleńców? Słowa milkną, a wszelkie próby tłumaczenia, wyjaśniania pozostają niewypowiedziane.

Musi wszelako przetrwać te najgorsze próby i doświadczenia nasza niezłomna wola przezwyciężenia klęski, nasza wiara w niewysychające źródło mocy i siły polskiego ludu. Przecież tak już nieraz było na ziemiach polskich. Mór, głód, śmierć i zniszczenie, potworni jeźdźcy Apokalipsy często odwiedzali nasz kraj. I nie po raz pierwszy udręczony lud w popłochu ucieka z miast, szukając ratunku pod wieśniaczą strzechą. Zawsze jednak w chwilach najpotworniejszych, naród polski zespalał swoje siły, jednoczył się w niedoli i przebijał się ostatecznie ku lepszej przyszłości.

Dzieje nieszczęść naszego kraju muszą nam dać siłę przetrwania tej nowej klęski narodowej. Nie wolno nam być słabymi. A oznaką słabości byłoby liczenie na jakąkolwiek obcą pomoc. Nie pomogą nam ani ci, dla których naród polski był tylko stawką w politycznej grze, ani też ci, którzy bez poczucia odpowiedzialności dali sygnał szaleńczego czynu. Nie pomogą nam również ci, którzy w dniach udręki narodu polskiego zastanawiali się nad tym, czy Polacy są burżuazyjni, czy też należą do proletariackiej elity ludzkości! Sami musimy iść drogą pielgrzymstwa narodu polskiego, drogą pokonywania własnymi wyłącznie siłami piętrzących się przed nami trudności. Musimy tak długo być tułaczami, dopóki nie znajdziemy utraconej racji bytu

naszego narodu i tym samym nie przywrócimy pokoju ziemiom polskim i uspokojenia Europie.

Dziś musimy ratować cielesny byt narodu. Jasno musimy sobie zdać sprawę z tego, że wszelki element niepokoju w tej chwili godzi już w samo istnienie Polaków. Więcej niż milion naszych warszawskich rodaków jest bez dachu nad głową, do tego dołącza się jeszcze fala uchodźców z terenów, przez które przeszła ponownie burza wojenna. Rozmiary niedostatku i cierpień przekraczają wszelkie granice, w jakich działają zwykle organizacje dobroczynności i pomocy społecznej. Każdy Polak musi się poczuwać do obowiązku niesienia pomocy rodakowi. Obowiązek pomocy wzajemnej nakłada również na każdego z nas obowiązek zdwojenia naszego wysiłku pracy. A przede wszystkim nie wolno nam trwonić sił na bezcelowe szamotanie się. Zbyt dużo straciliśmy! Zbyt wielki haracz spłaciliśmy już zniszczeniu i śmierci. Musimy sobie z uporem torować drogę ku nowemu tworzeniu i pracy. Skoro w tym wysiłku zjednoczymy wszystkie narodowe moce, zapewne wysiłek ten przyniesie nam upragniony plon.

W największym naszym poniżeniu, w naszej straszliwej klęsce, musimy wykrzesać z siebie siły olbrzyma, by pracą i uporem na zgliszczach przeszłości budować nowy POLSKI DOM. **Redakcja.**

TRAGICZNA SŁUSZNOŚĆ

W ostatniej chwili mieli przyjść Anglicy. W jaki sposób — co do tego zdania były podzielone. Jedni widzieli ich chmurami całymi spadających z nieba w postaci potężnych zastępów skoczków spadochronowych. Równocześnie miały nadlecieć olbrzymie transportowce pełne czołgów, broni i amunicji... Inni znowu wyobrażali sobie, że sojusznicy przybędą razem z bolszewikami i naturalnie w towarzystwie oddziałów polskich, które „uroczyście" wkroczą i td. Mówiły tak nie tylko paniusie w tramwaju, nie tylko kawiarniane gaduły zakładające się ze znajomkami o butlę szampana, ale też tzw. ludzie wykształceni, tzw. ludzie poważni. Majaczenie ulicy narzuciło się społeczeństwu rozsądnemu. Bakcyl obłędu perfidnie szczepiony przez sojuszniczą propagandę na mózgach i sercach polskich wydał swe okropne owoce.

Psychozy zaciemniają i zasadniczo fałszują obraz rzeczywistości. Ale mają swą wewnętrzną konsekwencję. Nie zbrakło jej i tutaj.

Fakty zdawały się potwierdzać rojenia. Bolszewicy u wrót Warszawy. Sygnał dany...

Nie będziemy dotykali krwawiących jeszcze ran. Zapuszczamy kotarę milczenia nad tym, co się stało w Warszawie owych pamiętnych dni, kiedy komunikaty niemieckie wspominały o bolszewickich patrolach czołgów wywiadowczych docierających już niemal do przedmieść miasta. Większe działania wojenne toczyły się koło Siedlec. A więc już blisko, już zaraz....

I komuna nacisnęła sprężynę.... Mechanizm był oddawna nastawiony, starannie oliwiony obłudą obietnic, zasilany niezawodnym materiałem napędowym głupoty i zaślepienia. I ruszył z miejsca.

Ludzie opętani i zamroczeni, przyjmujący za dobrą monetę to, co uknuł spisek na życie narodu polskiego, spełnili ślepo rozkaz Moskwy. Zdumiewające jest, jak niesłychanie łatwo daje się nabrać naród chełpiący się przecież swoim sprytem.

Zróbmy bilans.

Po stronie sowieckiej niewątpliwy sukces. Manewr dywersyjny wprawdzie nie przyniósł żadnych korzyści strategicznych, ale udało się: 1. Znowu rzucić pomiędzy Polaków i Niemców potworny argument krwi, rozjątrzyć zawiści, utrudnić, a bodaj opóźnić to, co jest oddawna koszmarem nękającym po nocach towarzysza Stalina — porozumienie polsko—niemieckie. 2. Spowodować rozlew krwi polskiej. Ten fakt sam w sobie jest dla komuny pomyślny i radosny. Agenci Moskwy zbyt są wyrafinowani, aby nie rozumieć, że ci z pośród nas, których udało im się zapędzić w swe szeregi, z szatańską perfidią wygrywając wszystkie bóle, zawody i nadzieje, — to nie żadne prawowierne owieczki ze Stalinowskiego stadka, ale w przytłaczającej większości Polacy, po polsku czujący, a tylko rozpaczą i zaślepieniem zagnani na brzeg przepaści. Komuna wie doskonale, że skoro przejrzą — a ten moment musi nastąpić, o tym oni też wiedzą! — ci sami ludzie rzucą się z żywiołową nienawiścią na swych uwodzicieli i ani strzępka całego na nich nie zostawią. A zatem trzeba ich wytępić za wczasu, „profilaktycznie" — i to możliwie cudzymi rękami. Najłatwiej to zrobić pchając w szaloną awanturę. W ten sposób, drogą szatańsko wyreżyserowanego „usmirenia Polszy", przygotowuje sobie towarzysz Stalin tryumfalny wjazd do kraju już całkowicie bezpiecznego, który reprezentować będą sami posłuszni czynownicy sowieccy i „polscy" Żydzi. 3. Oskarżyć o nieudane powstanie rząd Mikołajczyka, w ten sposób wyzbywając się niewygodnego partnera.

A po stronie polskiej? — Same straty. Strata żywej krwi narodu tak już strasznie wyniszczonego w swej substancji. Strata polityczna, którą jest każdy błąd, choćby jego autorstwo sięgało źródeł i co do ducha i co do miejsca tkwiących poza polską wspólnotą narodową. Wreszcie strata moralna w postaci potwornej kompromitacji naszych „czynników narodowo myślących".

Przyczyną tragicznego bezwładu tych czynników było nieprzemyślenie naszej roli w dzisiejszym konflikcie dziejowym. Zwróciliśmy na to uwagę zaraz w artykule wstępnym pierwszego n-ru „Przełomu". Jaki był sens jego wywodów? Był jasny. Można iść albo ze Wschodem albo z Zachodem. Innego wyjścia nie ma Tysiącletnia historia naszego narodu nie pozostawia w tym względzie żadnej wątpliwości. Naród polski od zarania swych dziejów wypowiedział się za Zachodem, — przeciw Wschodowi. A skoro dziś część tego Zachodu, sprzeniewierzając się własnej misji dziejowej poszła w służbę Wschodu — my winniśmy iść z tą częścią Zachodu, która walkę ze Wschodem podjęła i prowadzi: z Niemcami. Nie przez jakąś dorywczą kalkulację polityczną, nie dlatego, że nam coś „obiecano", ale dlatego po prostu, że wtedy tylko zachowamy wierność własnemu posłannictwu dziejowemu.

Wiedzieliśmy jednak dobrze, że wszystko niemal sprzeciwia się przyjęciu takiego stanowiska przez społeczeństwo. To też podjęliśmy systematyczną walkę z **polskim prze-**

Ludzie stamtąd

Znało się ich przecież. A wciąż trudno sobie wyobrazić, że to ci sami. Kiedy czyta się o tym, że Rzymowski i Wanda Wasilewska weszli w skład „rządu polskiego" powołanego przez Moskwę, doznaje się takiego wrażenia, jak na wieść o udziale znajomych na przykład w locie rakietowym na księżyc.

Więc to ci sami ludzie, którzy — chciałoby się napisać „za życia", tak każde zetknięcie z bolszewizmem blisko kojarzy się ze śmiercią — mogli nam być sympatyczni lub nie, bliscy lub dalecy, ale bądź co bądź tkwili w tej samej co my, wspólnej rzeczywistości — nagle kłaniają się nam z tamtego brzegu. Ukłon to osobliwy, przez potrząsanie pięści w górę wzniesionej, przepisowy ukłon bolszewicki. Możemy mówić dziś o nich nie jak o żywych ludziach, lecz raczej jak o zjawisku.

„O nich"? Bądźmy ściśli. Bo o polskim „sowiecie" wiemy, że w jego skład weszło poza Rzymowskim, Wasilewską i Jędrychowskim* jeszcze kilku Żydów. O tych naturalnie nie piszemy, ci nas wogóle nie obchodzą. Nie należeli nigdy do polskiej wspólnoty narodowej, więcej, byli wyraźnie jej wrodzy. To już normalne, kazionne, sowieckie czynowniki z paczki oprawców katyńskich. Wszelka analiza byłaby tu luksusem.

Ale tamci? — Naturalnie nic łatwiejszego niż rzucić klątwę. Moglibyśmy i my wykonać ten gest. Jeśli kiedy, to chyba właśnie w tym wypadku byłby usprawiedliwiony. A jednak nie uczynimy tego. Nie dlatego iż byśmy żywili szczególne jakieś złudzenia co do pp. Rzymowskiego, Wasilewskiej i Jędrychowskiego, ale dlatego po prostu, że więcej nas pociąga **zrozumienie** tego co zaszło, niż kwalifikacja moralna, którą i tak z nieomylną sprawiedliwością wyda przyszłość.

Polacy, którzy zdecydowali się postawić na kartę sowiecką sprzymierzyli się z samym złem. Ze złem w rozumieniu moralnym, ze złem w rozumieniu politycznym. Ludzie ci przypieczętowali swym czynem wyrok śmierci na Polskę i Polaków, wydany oddawna przez towarzysza Stalina.

Jedno trzeba im przyznać bezstronnie. Postawili na kartę złą wprawdzie, ale **konkretną**. W tym tkwi ich niewątpliwa wyższość nad nieszczęsną emigracją londyńską i kołami w kraju do niej zbliżonymi. Ci wszyscy postawili na NIC, na mydło. Na gwarancje, które nic nie gwarantują. Na przyjaźń, która nie wytrzymuje żadnej poważnej próby, na jałowe, chytre kombinatorstwo polityczne, na frazes, na bluff, na zacofanie. Postawili na głupstwo, które się już sto razy zdemaskowało — a oni wciąż kurczowo mną w palcach zgraną już dawno kartę.

Tamtym z Lublina nie brak przynajmniej zmysłu rzeczywistości. Stalin jest hersztem najnikczemniejszej bandy zbirów, jaka kiedykolwiek dorwała się do rządów, ale Stalin to jednak nie jest cień. Jest to człowiek (?) mający swój plan, rozporządzający doskonałym aparatem organizacyjnym, realizujący niewątpliwie wielkie, choć zbrodnicze i w założeniach i w metodach zadania. Kto sprzymierza się ze Stalinem, ten wie dokąd idzie i do jakiej sprawy przykłada rękę. Dlatego właśnie twierdzimy, że w ostatecznym rozrachunku „ludzie stamtąd" przynieśli krajowi mniejszą krzywdę niż patrioci londyńscy.

Akces do bolszewizmu nie jest dla Polaków ponętny. To że znaleźli się ludzie, którzy zdecydowali się na sojusz ze Stalinem, może na społeczeństwo działać raczej odstraszająco. Bo nienawiść do bolszewizmu jest w nas głęboka i szczera.

Natomiast maniacką polityka złudzeń prowadzona przez Londyńczyków przynosi nam wciąż wielkie i tragiczne w skutkach szkody. Zabija w narodzie i tak silnie uderzonym przez los resztki rozumu politycznego, histeryzuje ten naród, robi zeń jakiegoś lunatyka błądzącego we śnie po gzymsach domów, zawieszonego nad przepaścią śmierci. Z przerażeniem stwierdza się jak ta polityka zabiła już w pewnych warstwach narodu instynkt samozachowawczy.

A może jednak krzywdzimy pp. Jędrychowskiego, Rzymowskiego i Wasilewską, uważając ich za zaprzedanych duszą i ciałem krwawej barbarii Wschodu? Może ich przystąpienie do współpracy z Sowietami było gestem taktycznym, jakkolwiek rozpaczliwym?

Weźmy tych ludzi z najlepszej strony. Nie ma ostatecznie nic niemożliwego w przypuszczeniu, że rozumowali tak: bolszewizm tak czy owak zwycięży — starajmy się więc w tej nowej sytuacji, w której stanie Europa po tryumfie Sowietów uratować naród polski przed zagładą. Może świadomie złożyli ofiarę ze swych przekonań i wstrętów dla zachowania polskości? Jeśli nie u wszystkich polskich członków sowietu, to przynajmniej u niektórych taka postawa była możliwa.

Jakże gorzko się w takim razie zawiedli! Równocześnie z wieścią o utworzeniu się rządu chełmskiego doszła nas inna wieść: o wystrzelaniu w Kowlu dowództwa polskich oddziałów partyzanckich, **które zgłosiły się do współpracy z czerwoną armią.** Żołnierzy tych

*) Jesteśmy powściągliwi w cytowaniu nazwisk wobec trudności ścisłego ustalenia składu „polskiego sowietu".

„Tragiczna słuszność"

sądem politycznym. W tymże pierwszym n-rze „Przełomu" zaatakowaliśmy w artykule „Cena krwi" przesąd najgroźniejszy, bo stanowiący przyczynę ciągłego, potwornego wykrwawiania się narodu: przesąd terroru jako narzędzia walki politycznej. Wskazaliśmy na całkowitą bezsilność tej broni w warunkach współczesnych, wskazaliśmy, że przynosi nam ona poza stratami politycznymi potworne straty biologiczne, które są równocześnie poważną wygraną partnera sowieckiego, „pacyfikującego" już z góry, ustawiczną chytrze wyreżyserowaną prowokacją przyszły — w marzeniach swoich — teren podboju.

Tragiczne wypadki sierpniowe przyznały nam całkowicie rację. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nasze czynniki narodowe zrozumiały niebezpieczeństwo, jakie grozi Polakom w razie rewolty. Niestety były to tylko myśli nieśmiało szeptane. Jawne wypowiedzenie się przeciwko szaleństwu „naraziłoby" nam przecież sojuszników, którzy jak widzimy ze stałych wzmianek w komunikatach niemieckich o walkach z terrorystami na francuskim zapleczu, chojnie szafują cudzą krwią i nakazują wszędzie uprawianie dywersji narodom, z których poza tym sączą krew na placach boju. Poddana w niewolę Londynu Polska Podziemna miała spętane ręce w walce z zamachem komuny na życie narodu. Co gorsza, jej elementy awanturnicze i nieodpowiedzialne dostrzegły gratkę w wybuchu powstania. Gratkę do „wyżycia się". Znaleziono też „poważne motywy" usprawiedliwiające zbrodniczy idiotyzm. — Jeżeli — „rozumowali" ci ludzie — uda nam się Warszawę opanować, wyjdzie na to, że to my wyzwoliliśmy ją od Niemców, a nie bolszewicy. Będzie to naturalnie potężny atut polityczny na przyszłej konferencji pokojowej. — Tu już głupota przechodzi w stan doskonałości, występuje w postaci niejako idealnej. Ale coś więcej jeszcze niż głupota: potworna małostkowość myślenia. Ci ludzie, nie widzący w polityce nic poza awanturą i wyścigiem prestiżowej megalomanii, uroili sobie, że wśród zmagań światopoglądów, wśród walki tytanów, której wynik zdecyduje o obliczu Europy, a może świata na całe stulecia — da się wykroić dla Polski jakiś honorowy kącik na tej podstawie, że jej oddziały partyzanckie zajęły Warszawę o parę godzin, czy dni wcześniej niż bolszewickie. Myśl, że takie kalendarzykowe zwycięstwo (którego zresztą nie było) wogóle coś znaczy, ba, że może decydująco wpłynąć na losy narodu, wciśniętego między walczące z sobą Wschód i Zachód, mogła tylko powstać w ptasich mózgach ludzi, którzy zmagania się narodów i idei wyobrażają sobie na podobieństwo bijatyki w knajpie, gdzie partia pod-

dalszy ciąg na str. 4-ej

oddziałów odziano w mundury sowieckie i wysłano w głąb Z. S. R. R. (Zapewne nasi genialni Londyńczycy zawołają: — To nic! Ta krew nie została przelana na darmo. Oto zdobyliśmy nowy, znakomity argument, aby przekonać naszych sprzymierzeńców, Anglików i Amerykan, co to za potwory ci bolszewicy. — Tak, to byłoby zupełnie w stylu tej polityki patetycznego nonsensu). — A cóż na ten nowy Katyń poradzili panowie z Chełma? Nic. Nie zdołali nawet uratować od śmierci tych Polaków, którzy zgłosili się dobrowolnie do współpracy z bolszewizmem. Jakże chcą uchronić przed ciosami kata sowieckiego naród polski, który w olbrzymiej swej większości jest bolszewizmowi wrogi?

W polityce koniunktura, zmysł praktyczny, taktyka odgrywają poważną rolę i nie jest politykiem ten, kto je lekceważy. Ale stacza się w przepaść człowiek, który z taktyki czyni religię. W ten błąd popaść musieli — o ile nasze przypuszczenie o patriotycznych pobudkach działania lubelskich polityków jest słuszne — ludzie, którzy poszli na ugodę ze Stalinem. Raczej, poszli w jego niewolę, bo to jedyna forma „współpracy", którą bolszewizm uznaje. O tym politycy z Chełma zapomnieli. Zapomnieli, że sojusz z Sowietami — to zgoda na wpuszczenie stepu do Europy. A to przekreśla już z góry wszystkie rachuby.

j. e. s.

ŹRÓDŁA PROANGIELSKICH ROZCZAROWAŃ

Od czasu kiedy minister Józef Beck — w niewątpliwej zresztą zgodzie z dużą częścią społeczeństwa polskiego — postanowił politykę polską prowadzić zbieżnie z angielską myślą polityczną, droga życiowa narodu polskiego weszła w sferę katastrof i klęsk. Koszmarnym plonem anglo-polskiego sojuszu politycznego były wypadki wrześniowe 1939 roku, są tragiczne losy SPRAWY POLSKIEJ, rozgrywające się w Londynie, Waszyngtonie i Moskwie, straszliwa epopea emigrantów i szczątków armii polskiej, których cierniowa droga wiedzie przez wszystkie anglosaskie targowiska polityczne i pobojowiska tej wojny (Francja — Dunkierka, Afryka północna — Tobruk, Italia — Rzym, wybrzeże Adriatyku, Inwazja — wybrzeże Normandii i td.), a wreszcie obecna golgota warszawska i naiwne wyznanie p. Mikołajczyka, żalącego się przed dziennikarzami, że na skutek braku umów i porozumień zasady sprawiedliwości zostają przez pewne mocarstwo brutalnie pogwałcone wobec słabszego sąsiada.

PODSTAWY NASZEJ WIARY W ANGLIĘ

Wiara Polaków w realność angielskiej pomocy opiera się z jednej strony na przekonaniu o potędze gospodarczej i militarnej angielskiego sojusznika, z drugiej na dziewiczej wprost nieznajomości podstaw i zasad polityki angielskiej, co więcej na iście romantycznym, zgoła niewspółczesnym ujmowaniu przebiegu zjawisk politycznych.

Nie będziemy się tu zastanawiali nad istotnymi podstawami i danymi potęgi brytyjskiej mimo, że w przebiegu tej wojny obserwujemy stałe kurczenie się zasięgu wpływów angielskich na korzyść amerykańskiego względnie sowieckiego sojusznika. Dyskusja na ten temat doprowadziłaby nas bowiem tylko do rozstrzygnięcia alternatywy: czy w danych okolicznościach Wielka Brytania rozporządza odpowiednimi środkami mocy dla przeprowadzenia swej woli w sprawach polskich, czy też środkami takimi nie dysponuje. Natomiast całkowicie otwartą pozostałaby kwestia, czy wogóle Anglia ma ten chwalebny zamiar przyjścia Polsce z pomocą w chwili, gdy ta pomoc jest najbardziej potrzebną. A to właśnie zagadnienie, skojarzone z zasadami i podstawami polityki angielskiej obchodzi nas najbardziej, gdyż — jak to zobaczymy — odsłania istotne źródła naszych angielskich rozczarowań.

KLUCZ POLITYKI ANGIELSKIEJ

Spójrzmy na politykę brytyjską nie przez okulary polskich żalów i potrzeb, lecz z wartowni angielskiej pod kątem interesu Wielkiej Brytanii, tj. dobrobytu obywatela brytyjskiego, dbałości o zachowanie i zabezpieczenie źródeł angielskiego bogactwa Nie da się zaprzeczyć, że podstawą wysokiego standardu życiowego kierowniczej kasty angielskiej jest posiadanie olbrzymiego imperium, którego rezerwy gospodarcze bez skrupułów wyzyskiwane są przez brytyjskich włodarzy. Wynika stąd, że najbardziej kardynalnym nakazem polityki angielskiej jest i musi być utrzymanie łączności i wewnętrznej spoistości Imperium Brytyjskiego, rozrzuconego po wszystkich kontynentach. Istotnie obserwować można, że politycy angielscy bardzo prędko i zdecydowanie reagują na wypadki, które kryją w sobie zagrożenie tej podstawy dobrobytu angielskiego. Znamienny tu jest incydent z ambasadorem sojuszniczych Stanów Zjednoczonych Am. Półn., Philippsem, któremu bezceremonialnie wskazano drzwi, gdy ośmielił się w opublikowanym w „Washington Post" liście do prezydenta Roosevelta skrytykować angielskie metody rządzenia w Indiach. Wiadomą jest rzeczą, że Indie są perłą w wieńcu posiadłości kolonialnych Anglii, klejnotem wyzysku angielskiego, a równocześnie straszliwym padołem nędzy i niemalże niekończących się epidemii głodu.

ROLA SZLAKU ANGLO-INDYJSKIEGO

W polu widzenia polityki angielskiej niesłychanie więc ważną, prawieże rozstrzygającą rolę odgrywa szlak komunikacyjny, łączący metropolię poprzez Gibraltar, Morze Śródziemne, Kanał Sueski i Ocean Indyjski z Indiami i Australią. Przeglądając karty historii brytyjskiej ostatnich dwóch stuleci dojdziemy do wniosku, że dzieje Anglii są ilustracją dziejów walki o ten właśnie szlak imperialny; wszelkie traktaty, umowy, wszelkie posunięcia dyplomatyczne i wysiłki militarne służyły do stworzenia oraz zagwarantowania jego bezpieczeństwa.

W połowie zeszłego stulecia u krawędzi tego szlaku stanęły zjednoczone Włochy, które wybrać musiały między całkowitym podporządkowaniem się pod dyrektywy polityki angielskiej a koniecznością zbrojnej rozprawy. Sprawy ustrojowe czy też ideologiczne nie odgrywały tu, jak w żadnym zresztą wypadku polityki angielskiej, najmniejszej roli. Dla Anglii hasła ideologiczne były i są wyłącznie sprytnie wykorzystywanym parawanem, za którym ukryte są własne cele imperialistyczne. Największym sukcesem polityki angielskiej było właśnie to, że na hasłach antyimperialistycznych potrafiła Anglia zbudować gmach własnego imperium! Szczególnie charakterystyczny był słynny tajny traktat londyński, zawarty wiosną 1915 roku.

TAJNY SOJUSZ DWÓCH IMPERIALIZMÓW

Aby skłonić Włochy do przystąpienia do pierwszej wojny światowej Wielka Brytania zgodziła się nie tylko na podział Turcji i obietnicę powierzenia Włochom rdzennie tureckich obszarów, lecz nadto na podział najwierniejszego sojusznika, — który od dziewięciu miesięcy walczył rozpaczliwie, a w obronie którego rzekomo Anglia przystąpiła do wojny — mianowicie Serbii! Traktat londyński 1915 roku do złudzenia przypomina okoliczności nieszczęsnej sprawy polskiej w wojnie obecnej. W r. 1914 Anglia rozpoczęła wojnę pod hasłem obrony integralności i suwerenności Serbii. Dwadzieścia pięć lat później Anglia podejmuje obronę integralności i suwerenności Polski. W r. 1915 nastręczyła się okazja pozyskania nowego włoskiego sojusznika, przy czym równocześnie dyplomacja angielska usiłowała ekspansję włoską skierowaną na północną Afrykę i niebezpieczną dla anglo-indyjskiego szlaku, sprowadzić na mniej groźne dla niej tory bałkańskie. Bez chwili namysłu ofiarowano serbskiego sojusznika. Rzeczą drugorzędną jest już fakt, że później sprawy potoczyły się inaczej i ostatecznie zbrojna rozprawa z Włochami stała się rzeczą nieuniknioną.

POLSKA W SZPONACH HANDLARZA

W r. 1940 na szachownicy wojennej zjawił się nowy, ewentualny sojusznik — Sowiety. Znów dyplomacja angielska czyni starania ekspansję sowiecką zwróconą na Iran i Irak i niebezpieczną dla anglo-indyjskiego szlaku sprowadzić na mniej groźne tory bałkańskie i środkowo-europejskie. Z tej strony poważnego zaatakowania szlaku indyjskiego, zresztą zabezpieczonego jeszcze we flance przez brytyjski Cypr, spodziewać się nie należy. Z drugiej strony rosyjski rygiel na Bałkanach barykaduje na zawsze Niemcom drogę na daleki świat w kierunku Bagdadu i Egiptu. Co więcej istnienie tej rosyjskiej zapory obiecuje utrwalić raz na zawsze stan wrogi między ekspansywnymi Germanami a wysoce witalnymi Rosjanami, obiecuje więc nową „równowagę sił w Europie".

W polu widzenia tych rozumowań politycznych zastosowanie manewru dyplomatycznego z r. 1915 do sprawy polskiej było i jest rzeczą całkiem naturalną. Polska dla angielskiego męża stanu nie jest ani lepszą ani gorszą od Serbii r. 1915, a sojusznik sowiecki niewątpliwie posiada wartość o całe niebo większą niż Włochy z przed trzydziestu laty.

Nie przeszkadza to oczywiście zachęcać nadal Polaków do oporu przeciwko Niemcom zarówno jak i Sowietom. Dyplomacja angielska działała tu z tą samą precyzją jak wo-

„Źródła proangielskich rozczarowań"

bec serbskiego sojusznika 1915 r., gdyż zarówno osłabienie Niemiec jak Rosji leży w interesie angielskim, z tego jednak Polacy nie mogą wnioskować, iżby Anglicy skłonni byli dla sprawy polskiej ofiarować choćby najmniejszą cząstkę interesów brytyjskich. **Polska leży na uboczu głównych linii życiowych imperium brytyjskiego i z tego powodu może być wyłącznie przedmiotem targów dyplomatycznych nigdy jednak nie będzie dla Anglii samodzielnym czynnikiem politycznym, z którego witalnymi potrzebami Wielka Brytania zechciałaby się liczyć.**

PRÓBA NOWEJ ZBRODNI POLITYCZNEJ — PODZIAŁU EUROPY

Z jakim uporem dyplomacja angielska broni obecnie w warunkach zupełnie zmienionych, różniących się całkowicie od sytuacji politycznej 1939 r., szlaku anglo-indyjskiego, świadczy najlepiej propagowanie obecnie przez Anglię koncepcji wspólnoty politycznej zachodnio-europejskich narodów, a, więc Francuzów, Belgów, Holendrów, Włochów pod hegemonią angielską. Wystarczy spojrzeć na mapy, aby przekonać się, że chodzi tu po prostu o podmurowanie mostu anglo-indyjskiego kosztem Europy. Nowa bowiem koncepcja brytyjska godząca się z hegemonią sowiecką w Europie północnej, środkowej i południowo-wschodniej rozbija prastarą warownię kultury światowej, jest w gruncie rzeczy próbą zbrodni politycznej wielokroć gorszej i straszniejszej niż podział Polski w XVIII stuleciu.

Sama myśl takiej koncepcji udawadnia, że mózgi, które tę koncepcję skonstruowały, wiedzieć nic nie chcą o sprawach i bolączkach naszego kontynentu. Ojcem tej koncepcji był nakaz obrony Imperium Brytyjskiego, które nigdy nie było wyrazem potrzeb życiowych narodów europejskich z wyjątkiem oczywiście wyspiarskich Anglików; matką zaś jej jest chęć okupienia apetytów rosyjskich pokaźnym strzępem poniżonej, podeptanej i sromotnie zdradzonej ziemi europejskiej. Zamordowany niedawno przez angielskich szpiegów francuski polityk Philip Henriot trafnie określił rolę angielskiej dyplomacji. Polityk brytyjski — powiada Henriot — przypomina człowieka, uciekającego przed rozwścieczonym buldogiem i rzucającego za sobą ochłapy mięsa, aby tymi kęsami opóźnić pościg psa. Owym buldogiem jest bolszewik, a ochłapami mięsa nieszczęsne kraje europejskie.

Warto zresztą zaznaczyć, że szczodrobliwość Anglii w szafowaniu terenami europejskimi na korzyść Rosji nie jest bynajmniej objawem drugiej wojny światowej. Pamiętniki mężów stanu poprzedniej wojny światowej udawadniają, że już wtedy polityka angielska tymi samymi kroczyła drogami. Masoński premier włoski, F. Nitti, stwierdza w swej napisanej w r. 1921 książce „L'Europe sans paix", że alianci byli zdecydowani przekazać całą Polskę oraz kraje bałkańskie panowaniu cara. Tylko załamanie się Rosji przeszkodziło urzeczywistnieniu tych zbożnych zamiarów.

ŹRÓDŁA ANGIELSKIEGO EGOIZMU POLITYCZNEGO

My, Polacy, w sprawach polityki cierpieliśmy zawsze na daltonizm. Po prostu pewnych ponurych barw szczególnie u naszych dalszych sąsiadów nie byliśmy skłonni spostrzegać Sprzeczność między hasłami obrony wolności i demokracji, głoszonymi z uporem przez angielskich mężów stanu z faktycznymi posunięciami tych dobroczyńców ludzkości z reguły uchodzi naszej spostrzegawczości, po prostu nie widzimy jej. Tak było w r. 1792, w 1830, w 1917, tak jest obecnie. Jesteśmy narodem o wielkich tradycjach rycerskich, a następnie o tradycji męczarń, wyrzeczeń i ofiar ponoszonych w walce o wolność naszego narodu, a równocześnie w walce o polepszenie bytu warstw pracujących, byliśmy i jesteśmy od czasów wieszcza Adama Mickiewicza chorążymi najszczytniejszych ideałów zarówno socjalizmu jak i umiarkowanego nacjonalizmu. Ale właśnie dlatego nasze wyobrażenia o polityce i kulisowych konszachtach dyplomatycznych są z gruntu fałszywe.

Być może bardziej dla nas będzie zrozumiałym egoizm polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii, gdy postaramy się zgłębić jego źródła społeczne i wewnętrzno-polityczne. To jednak przekracza już ramy niniejszych wywodów. Do tematu powrócimy w osobnym artykule. Tu tylko jeszcze przypomnimy, że całkiem błędnie cieszy się u nas Anglia sławą kraju o najstarszych tradycjach swobód demokratycznych. Przekonanie to opiera się na parlamentaryźmie angielskim, istotnie sięgającym czasów Stuartów. Trzeba jednak wiedzieć, że od najdawniejszych czasów właśnie parlament angielski był warownią uprzywilejowań szczupłej kasty posiadających i bogaczy, że właśnie parlament był ostoją wyzysku warstw pracujących. Dopiero w roku 1832 stan średni zdobył sobie prawo wyboru do parlamentu, robotnicy w r. 1867, a rolnicy nawet dopiero w r. 1899. Powszechne zaś prawo wyborcze uchwalone zostało w Anglii w r. 1918, czyli po pierwszej wojnie światowej. Te daty są bardzo wymowne. A trzeba jeszcze uwzględnić, że dzisiejszy parlament angielski nadal czerpie swe soki z tradycji dawnego parlamentaryzmu stanowego, że decydują w nim te same siły wsteczne, które pracowały nad budową angielskiego imperializmu i na zagładę Europy. O tych „motorach polityki angielskiej" pisać będziemy w następnym n-rze „Przełomu".

dr Feliks Burdecki

Koniec artykułu **„Tragiczna słuszność"**

chmielonych „zuchów" wygania niemiłych sobie gości przy hucznych brawach i chichotach przesadnie umalowanych „pań".

Wyjątkowo dla nas okrutny los chciał, że tego rodzaju ludziom udało się na chwilę ująć ster wydarzeń w swe ręce. Komuna natomiast — utajona ale istotna sprężyna nieszczęścia — działała z zimną przebiegłością. Azjaty podjudzała, nie angażując się. Że w próbie ostatecznej weźmie górę, to było oczywiste. W okresach zamętu bierze zawsze górę ten, kto ma wyraźny program, wypróbowane metody działania, organizację, **kto wie, czego chce**. Te wszystkie dane były po stronie komuny. Organizacje narodowe — mamy na myśli elementy rozsądniejsze i nie pozbawione poczucia odpowiedzialności — tonęły tymczasem w zupełnym chaosie pojęciowym, osłanianym deklamacją. I cóż dziwnego, że nie potrafiły zrobić nic, aby naród uratować przed nieszczęściem. Nie potrafiły nawet wyeliminować ze swych szeregów licznych prowokatorów bolszewickich, którzy na pewno czasu nie marnowali. Z komuną wprawdzie iść nie chciały, ale na decyzję pójścia z Niemcami nie stać ich było woli i śmiałości. Zajęli jakieś fikcyjne, „trzecie" stanowisko, oparte o złudne nadzieje zakulisowe gierki, niby wymyślne w istocie naiwne polityczne kalkulacje. Żywym symbolem tego bezwładu i bezładu aliancko zorientowanej polskiej myśli politycznej jest postać samego premiera Mikołajczyka, którego jak piłkę przerzucają sobie Londyn i Moskwa, nie pozostawiając mu bodaj pozoru inicjatywy. Symbolem tego wyjałowienia myślowego jest również deklaracja polityczna rządu londyńskiego o celach wojny, będąca najbardziej żałosnym obrazem eklektyzmu rozdającego uśmiechy na wszystkie strony (ba, nawet w stronę „silnego rządu" a jakżej), starającą się wszystkim przypodobać i nie mającą nic, literalnie nic do powiedzenia o zadaniach i roli Polski w Europie przyszłości.

„Przełom" zdawał sobie sprawę z tego, że ten szczególnie w chwili obecnej groźny stan umysłów w Polsce nie jest dziełem przypadku, lecz że przyczyn jego trzeba szukać w schorzeniach polskiej myśli politycznej, na które złożyło się wiele przyczyn o działaniu długotrwałym i głębokim. To też podjęliśmy od pierwszych zaraz numerów rewizję najbardziej rozpowszechnionych u nas poglądów i nałogów myślowych, które fatalnie zaciążyły na współczesności. W przeciwieństwie do prasy tajnej tonącej w płytkim personaliźmie, pogrążonej w jałowych sporach obracających się dokoła osób lub małoznaczących wydarzeń — sięgnęliśmy do korzeni. Numer 2 „Przełomu" przynosi artykuł „Tragedia Polski — wyrazem bezsilności Europy", poddający analizie historycznej zastarzały pogląd o fatalności antagonizmu polsko-niemieckiego, czego logiczną konsekwencją musiałoby być w obecnej chwili zlekceważenie obowiązku solidarności europejskiej, której Polska właśnie w ciągu dziejów była najdzielniejszym szermierzem. W n-rze zaś trzecim (artykuł „O wyobraźnię polityczną") usiłowaliśmy pokazać, jakie mechanizmy psychiczne, jakie nieanalizowane i milcząco przyjmowane założenia stały się motorem tego ruchu społeczno-politycznego, którego jednym z wyników były ostatnio przeżyte tragiczne chwile.

Wreszcie walnie przyznało rację naszemu stanowisku to, co wydarzyło się 20 lipca 1944 r. (odsyłamy czytelnika do art. „Po zamachu" nr 7-8). Wyjałowiona wyobraźnia, zanik zmysłu dziejowego, duch kliki i naiwne kombinatorstwo polityczne sprzysięgły się, by podłożyć dynamit pod gmach Europy i wydać ją na pastwę Eurazji. Bóg strzegł, że spełzło na zamiarach.

Zarazem pokazało się tutaj, jakie to przemądre i arcychytre atuty polityczne dzierżą w swych rękach panowie alianci. — W „pewnych sferach" zamach lipcowy spotkał się z żywym echem. Cóż dziwnego? Sfery te mają skład wprawdzie dość pstry, ale idealnie sharmonizowany w znaku beznadziejnej płycizny myślowej. Podstarzały eksdyplomata, niezastąpiony przy urządzaniu śniadań reprezentacyjnych mistrz w rozsadzaniu pań i panów przy stole udekorowanym kwiatami, ongiś może nawet jakieś komisyjne lwiątko Wersalu, które ocierało się o iśniącą sierść „starego Tygrysa" — porozumie się w każdej chwili z całą kołtunerią rewolucji, tkwiącą myślą i wspomnieniami w epoce Hapona i Róży Luksemburg — jeśli chodzi o przyłączenie się do nonsensu, mającego pozory chytrej kombinacji politycznej. Głupie cwaniactwo zawsze ich pogodzi.

Ale — co może być pociechą dla osób, które uważają, że mniej boli ucięta ręka, jeśli na około pada więcej uciętych rąk — przyznać trzeba sprawiedliwie, że nie jest to głupie cwaniactwo wyłącznie polską właściwością. Bo że w Niemczech znalazło się kilku półgłówków, którzy padli ofiarą własnych urojeń wielkości, to na to od biedy można powiedzieć: „Ha, gdzież nie ma półgłówków". — Ciekawe jest dopiero to, że ci ludzie działali w porozumieniu z Anglią. Już nie z jakąś kliką angielską nie z paroma angielskimi półgłówkami — ale z Anglią oficjalną, która prowadzi układy i rozdaje materiały wybuchowe! Okropnie ci „alianci" wyglądają w świetle tej wiadomości. Ci wytrawni „politycy", tak poważnie liczący na realizację kiepskiego scenariusza filmowego. Zupełnie już widać w piętkę gonią, skoro mogli przypuszczać, że Niemcy pozbawione swego magnesu zniszczonego rękami zamachowców, zatrute jadem walki bratobójczej, będą jeszcze zdolne do rozprawy orężnej z bolszewizmem. A na to przecież lojalni sojusznicy Moskwy naturalnie liczyli!

Ciężko jest niekiedy mieć rację. Wtedy zwłaszcza kiedy ta racja oznacza przelaną krew i martwe ciała rodaków. Ale też ten tragiczny wzgląd usprawiedliwia nasze wystąpienie, salwując nas, jak sądzimy, przed zarzutem samochwalstwa.

Gdyby zresztą mimo wszystko zarzut ten nam postawiono, nie ustaniemy nadal w głoszeniu tych prawd, których zrozumienie i przyjęcie przez społeczeństwo jest kwestią życia narodu polskiego.

J. E. Skiwski

Przeczytaj i oddaj drugiemu!